

Defilada umarłych bogów

Najzabawniejsze, że nijak nie potrafiłbym nazwać libertynem Wojciecha Karpińskiego, średniego z trzech (nie byle jakich!) braci. Libertyni, prawdziwi, osiemnastowieczni, odrzucali bowiem w zasadniczej mierze panujące normy obyczajowe i wszelką społeczną przyzwoitość, aby realizować skrajnie rozumianą swobodę w doświadczaniu zmysłowych rozkoszy na drodze eksperymentów w ogóle, erotycznych zaś szczególnie. Zero rygorów moralnych, zero kulturowych ograniczeń.

Nie chcę się tutaj rozwodzić nad prywatnymi aspektami biografii wybitnego historyka idei i sztuki. Wszystko mi jedno, czy prywatnie zaliczał się do libertynów, czy do ascetów. Natomiast jego literackie i mentalne zmagania z formą dają dostatecznie wiele powodów do refleksji całkiem innej niż wskazywanie libertyńskiego wyuzdania, co w książce, o której poniżej, autor sam frywolnie podsuwa tytułem. Mylny trop!

Opublikował „średni” Karpiński dwadzieścia autorskich publikacji, mających spore znaczenie dla polskiej kultury literackiej. Nie licząc innych książek, w których powstawaniu maczał palce. Tak znaczący dorobek skłonił mnie do napisania tego felietonu.

Konkretnie chciałbym zahaczyć uwagę Czytelników o jeden tylko tom. Za to ostatni, który ukazał się rok po śmierci autora. I w pewnym sensie

sumujący wszystkie inne. Na pewno wybór „120 dni »Kultury«” (Fundacja Terytoria Książki) zalicza się do najważniejszych dzieł Karpińskiego, obok „Książek zbójceckich” czy „Fajki van Gogha”. Notabene Karpiński przywołuje chętnie inne swoje tytuły również w „120 dniach »Kultury«”.

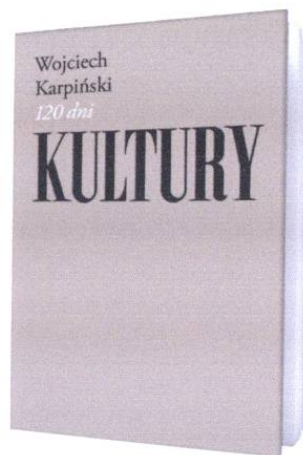
Owszem, nawiązanie do „120 dni Sodomy” markiza de Sade zostało z przekorną dezynwolturą przywołane. Ale raczej w charakterze inteligentnej prowokacji. Nie o zmysłowe wyuzdanie tu idzie, gdzieżby! Natomiast tworzy Karpiński coś w rodzaju zapisu soliloquium opartego o liczne i niebłahę wtajemniczenia lekturowe.

„120 dni »Kultury«” stanowi połączenie antologii określonej grupy tekstów z komentarzami twórcy wyboru. Czytelnik otrzymał tutaj przede wszystkim pamiętnik intelektualnych wtajemniczeń Karpińskiego. Rozbudowane komentarze, zwierzenia na temat mentalnych iluminacji, dialogi z tradycją. Śledzimy spotkania młodszego nieco twórcy z wybitnymi reprezentantami dwudziestowiecznej polskiej kultury skupionymi wokół Jerzego Giedroycia w Maisons-Laffitte: Gombrowicz, Miłosz, Herling-Grudziński, Jeleński, Czapski, Stempowski, Wat. Śmietanka Instytutu Literackiego. Nie wszyscy z kręgu Instytutu porządnie Karpińskiego zainspirowali (na przykład o dorobek Juliusza Mieroszewskiego, który w fundamentalnym stopniu określał kształt „Kultury”, tylko Karpiński zatracą). Lecz i tak wybiera z pełnej talii tuzy składające się na zasadniczy pasjans, który opisuje wielki zestaw narodowych koncepcji, jaki znaczył i znaczy dla nas ciągle bardzo dużo. Przede wszystkim jako dorobek mentalny prawdziwych intelektualistów polskich XX wieku. Jako formacyjna spuścizna rozdygotanej epoki. Karty owego pasjansa Karpiński bezustannie tasuje, układa je po wielokroć w kolejnych zestawieniach pozwalających na wciąż nowe



odczytania. Książki przywoływane, cytaty wywoływane i zamieszczone na kartach „120 dni »Kultury«” tworzą skomplikowany system luster, w których odbijają się myśli niezależnych (choć sobie bliskich) intelektualistów. Za każdym tekstem ujawniony zostaje kolejny możliwy trop wprowadzający na drogę wspólnych wtajemniczeń. Ów styl śledzenia kreacyjnych współistnień ma w sobie cechę zasadniczą: spójność wynikającą z różności zlepionej gorączką poszukiwaczy sensów. Co prowadzi do uogólnień wielkich osobnych koncepcji na jakimś prywatnym metapoziomie Wojciecha K.

Karpiński w ogóle uprawiał zawsze pisanie holistyczne. Mam na myśli taki rodzaj obmacywania rzeczywistości mentalnej, jaki określiłbym „notacjami eseistycznego umysłu”. Umysł eseistyczny wciąż bezustannie węszy, drąży, szuka paraleli między zjawiskami, skłonny jest po wielokroć okalać ten sam temat rozlicznymi i zmieniającymi się pytaniami, zgodnie z zasadą, że pytania są ważniejsze od odpowiedzi. Trzeba więc pytać z uporem maniaka o sensy dzieł, trzeba bez ustanku pytać o koncepty ich kreatorów, trzeba usilnie badać meandry rozumowań zapisanych na papierze i znajdować nieoczekiwane połączenia między wielu indywidualnymi trasami. Trzeba drążyć kierunki myśli, sprawdzać, skąd i dokąd zmierzają. To zasadniczy obowiązek poszukującego umysłu: tropić ruch, ►



skoro ruch toruje drogę, wyznaczając zmienne kształty kolejnych etapów jednej trasy. W paradoksalny sposób przywołam w tym miejscu cytaty ze Stanisława Lema: „Człowiek wyruszył na spotkanie innych światów, innych cywilizacji, nie poznawszy do końca własnych zakamarków, ślepych dróg, studni, zabarykadowanych ciemnych drzwi”. Wojciech Karpiński z Lemem się nie koleguje, lecz chętnie zagłębia w owe zakamarki i ślepe drogi, gdyż stają się one potrzebne do obrazowania kształtu innych światów, jakie przez nie prześwietlają. Spoglądać w studnie, aby dostrzec odbicie własnej twarzy, spoglądać na las, wydobywając zarys porządku spośród bezliku drzew.

To bardzo ważna książka, moim zdaniem. Ukazała się nie tak dawno, zważywszy na jej charakter. Dwa lata od edycji niczego w refleksji Karpińskiego nie zmieniają: myśli nie rzodkiewki, gdy porządne, nie parcieją w dwa dni.

Natomiast wydaje mi się, że zmiana mentalna, jaka się w Polsce dokonała w ostatnich mniej więcej trzech dekadach, odsuwa coraz szybciej XX wiek i jego myślicieli na półki biblioteki. Szalenie ważnej, inspirującej, ale jednak biblioteki.

Zwłaszcza że na takie lektury trzeba mieć czas. Tu przypomina mi się laudacyjny wstęp Czesława Miłosza do ogromnego cyklu powieści huculskich Stanisława Vincenza pod wspólnym tytułem „Na wysokiej połoninie”. Trzy epickie części w czterech tomach, wspaniała, wysmakowana polszczyzna, starannie budowana fabuła. Arcydzieło! Miłosz, zachęcając do lektury, podpowiada, aby sięść w fotelu ze szklanką lub kieliszkiem i smakować tę prozę, wchłaniając dla rozkoszy inne płyny.

Tylko kto dziś ma na to czas?! Kiedy nawet Sienkiewiczowska Trylogia okazuje się narracyjnie zbyt powolna...? Być może poważniejsza proza epicka i wielka intelektualna ese-

istyka rzeczywiście schodzą na drugi plan?

Wojciech Karpiński Vincenza (też autora z kręgu Giedroycia) słabo zauważa, to już nie jego świat. Dekoty przeszłości przestały więc bawić wcześniej niż nas również i jego. A czy likwor bogów z kręgu Instytutu Literackiego rozpuszczony w „120 dniach »Kultury«” będzie smakował młodszym niż ja? Nie orzekam, pytam.

Tytuł felietonu? Zacytowałem go z manifestu pióra Henryka Dembińskiego, który w 1931 roku sformułował program ważny dla wileńskich Żagarów, więc i Czesława Miłosza, jednego z bohaterów Wojciecha Karpińskiego. I mojego bohatera, przyznam, też.

Dembiński pisał: „Przyjmijmy defiladę umarłych bogów, w których wierzyły poprzednie pokolenia”.

Akurat... Będziemy, co rozumiał już Słowacki, jako dźwięk pusty trwać przez następne pokolenia.

TADEUSZ LEWANDOWSKI